

Zmiana Miejsc

Była to chyba... druga..., a może trzecia nad ranem. Usłyszeliśmy głuchy łomot. Ktoś walił w drzwi. Pamiętam, że popatrzyłem na mój zegarek. Dostałem go na moje 13 urodziny. Na tarczy widniało moje imię - Kilian. Nie widziałem dokładnej godziny (bo w końcu dopiero co się obudziłem). Potem jednak zobaczyłem coś, co mnie zdziwiło. Nad moją głową, w ciemności, ujrzałem niewyraźny kontur. Mógłbym przysiąc, że była to gałąź. Tak, tak. Duża i ciężka gałąź. Nie zdążyłem nawet pomyśleć, co to może znaczyć, bo nagle... gałąź spadła.

Poczułem smród zwierzęcej skóry. Leżałem na trawie. Odwróciłem głowę na tyle, ile mogłem. Od razu tego pożałowałem. Wbiłem wzrok w dwa żółte, ogromne ślepią. Cofnąłem się. Dokoła mnie stało stado wilków.

- Wreszcie się obudził - powiedział jeden.

- Daj reszcie sygnał, że wyruszamy - następnie zwrócił się do mnie.

- Rusz się! Ileż można czekać!? Na szyi byłem obwiązany powrozem. Jak jakiś pies! Po 20 minutach marszu zobaczyłem coś, co mi zmroziło krew w żyłach. Na dużej polanie zostali zgromadzeni wszyscy mieszkańcy miasta. Mieli na sobie jedynie piżamy, a wiał zimny wiatr. Każdy, podobnie jak ja, miał sznur na szyi. Dokoła nich biegały dzikie koty, domowe psy, wilki, rysie, a nawet niedźwiedzie! Zobaczyłem swoją mamę. Była wystraszona. Nagle największy z niedźwiedzi oznajmił:

- Zgromadzeni! Wreszcie nastał ten dzień! My, zwierzęta zbyt długo już byliśmy nękane. Prowadzone na smyczy z kagańcami na pyskach. Odbierane rodzinom, bliskim..., samotne i wystraszone. Nadeszła pora, aby ludzie odczuli ból, który towarzyszył każdemu zwierzęciu, dzień i noc. Kto jest ze mną?!

- Hurra! - głośnie ryki rozległy się na polanie. Po chwili załadowano nas na ciężarówki. Nie mam pojęcia, kto je prowadził. Pod naszymi nogami wiły się węże. Tak na wypadek, gdyby komuś zachciało się uciec. Po dwóch godzinach jazdy, zatrzymaliśmy się. Z tego co usłyszałem, jeszcze będąc na polanie, zwierzęta całkowicie przejęły kontrolę nad miastem. Wysiadając, zobaczyłem po dwóch stronach dwa tygrysy. Wszyscy zostaliśmy brutalnie zmuszeni do chodzenia na czworakach. Zobaczyłem za sobą małe dziecko. Nie umiało całkiem samodzielnie chodzić, bo normalnie poruszało się na wózku. Tygrys spytał niedźwiedzia, co mają z nim zrobić. Zamiast tego odezwał się duży bernardyn.

- Zostawcie je tutaj. Tak jak mnie porzucił właściciel, tylko dlatego że jestem kaleką. - Na to jednak nie mogłem pozwolić. Spojrzałem błagalnie na niedźwiedzia. Błagałem o litość dla dziecka. Ostatecznie zwierz się zgodził na to, aby któryś z dorosłych mężczyzn niósł dziecko. Poprowadzono wszystkich do wielkiego głazu. Tam, dwie sowy odsłoniły bluszcz. W skale ukazała się ciemna brama. Ustawiono nas (ludzi) gęsiego, po czym weszliśmy do groty. Przeszliśmy ciemny korytarz. Na jego końcu ujrzeliśmy...trudno mi było w to uwierzyć...wielką arenę! Oświetlona była licznymi pochodniami. Usłyszeliśmy głos niedźwiedzia. Orzekł, że na razie zostaniemy tutaj, pod ich czujnym okiem.

Staliśmy upchnięci jeden koło drugiego, tak gęsto, że trudno było ręką poruszyć. Przepchnąłem się jednak między wszystkimi i dostałem do mojej mamy. Objąłem ją. Nastął wieczór. Każdy ze zgromadzonych na arenie dostał jeden podarty koc do spania. Następnego dnia przywódca zwierząt zakomunikował nam, że posiłki będziemy dostawać dwa razy w ciągu dnia (a już to było jak na niego za dużo). Zobaczyłem mojego sąsiada. Koło niego stał jego pies. Pamiętam, że jak byłem młodszy, to widziałem jak ten mężczyzna z uśmiechem na twarzy bije swojego psa. Teraz jednak to pies warczał na dawnego Pana.

- Kto się teraz śmieje, co?- zawył pies i spojrzał srogo na właściciela. Na co on odpowiedział

- Hektorze, proszę cię! Obiecuję że następnym razem...

- Nie będzie następnego razu! - przerwał Hektor, po czym odwrócił się i odszedł, uderzając z pogardą siedzącego mężczyznę w twarz swoim ogonem.

Następne kilka dni były męką dla nas - ludzi. Zwierzęta, które wydawały mi się kiedyś takie łagodne i bezbronne, pokazały drugą stronę siebie. Te ogromne bestie zmusiły najmądrzejszych z nas, do wynalezienia mikstury, która sprawi, że wszyscy obywatele staną się im posłuszni. Nie brzmiało to zbyt zachęcająco... Pierwsza próba okazała się niepowodzeniem. Weszli pewnego dnia i rozdali nam małe buteleczki z zielonobrazową breją. Musieliśmy je opróżnić do dna. Zrobiliśmy to z niechęcią. Nic się nie wydarzyło. Druga próba podobnie jak i pierwsza, skończyła się kląpą. Trzecia, czwarta, piąta... Dni mijały, a my tylko czuliśmy się coraz gorzej i słabiej. Nie podobało mi się to. Czułem się tak, jakby ktoś przeprowadzał na mnie eksperymenty. Pomyślałem z goryczą o tych wszystkich niewinnych zwierzątkach, które cierpiały na skutek badań na nich, lekką dłońią przeprowadzanych...

Minął miesiąc odkąd byliśmy na arenie. Wybiła godzina 22, a ja szykowałem się do spania. Już miałem zamknąć oczy, kiedy na plac weszły lwy z niedźwiedziem na czele. Przywódca trzymał w ręku naczynie, w którym było mnóstwo fiolek z płynem.

– O nie... - wiedziałem, co to oznacza. Każdy z ludzi dostał buteleczkę i ją odkorkował.

– Na zdrowie - powiedziałem, po czym przechyliłem fiolkę i przełknąłem substancję. Z niezrozumiałych powodów zemdlałem...

Coś mnie łaskotało w nos. Poczułem coś mokrego na moim policzku. Otworzyłem oczy. Byłem w domu. Spojrzałem na mojego wiernego pieska. Myślałem, że zaraz coś powie. Coś nader niemiłego. Lecz on tylko stał i patrzył się na mnie badawczym spojrzeniem.

- Rafik! Słyszysz mnie? - mruknąłem. - Moja psinka. Powiedz coś! - lecz Rafik tylko zamerdał ochoczo ogonem i wtulił swój ciepły pyszczek w moje dłonie.

Elwira Kaczmarczyk, kl. 7

13 lat

SP Dzięgielów